GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 11 | Poznań, dnia 22 marca 1936 | Cena 20 gr

Stanisław Pigoń, Kraków

Tragizm „Judasza z Kariothu“

Twórczość Karola Huberta Rostworowskiego, ujęta w chwycie syntetycznym na całym swym obszarze, uderza i zastanawia jedną cechą znamienną, tak wyraźną, że wolno w niej widzieć znak przejawiającej się jakiejś istotności. Jest to mianowicie twórczość wprost żywiołowo wybuchowa; linja jej razporaz załamuje się nagłemi rzutami wgórę, poczem też równie znagła opada. Dzieło po dziele tak się jawiące zdumiewa nas przedewszystkiem swą nowością, tem, że jest do poprzednich niepodobne, samoswoje, niespodziane. Mając zwłaszcza na uwadze twórczość dramatyczną, możnaby powiedzieć, że układa się ona w ogniwa samych niespodzianek. Niema chyba w nowszej literaturze polskiej drugiego pisarza, którego dzieła byłyby nawzajem tak odległe i tworzyły taki zespół stylów różnorodnych. Jako żywo nie możnaby tu powtórzyć zapewnienia, jakie dawał jeden z miłośników twórczości Żeromskiego: w piekle czy w niebie poznałby z jednej stronicy autorstwo tego pisarza. Tymczasem sędziowie konkursowi krakowscy z całych 4-ch aktów „Niespodzianki“ nie rozpoznali autora „Judasza“. Bo też powtórzyć należy: w twórczości Rostworowskiego razporaz olśniewa nas erupcja niespodzianej nowości. Tak było od początku. Po paru pierwszych próbach dramatycznych młodego poety niespodzianką nad niespodziankami był „Judasz“ (1912). Wstrząsającą nowością było oratorjum wielkotygodniowe „Miłosierdzie“ (1920), a nawet ostatni dramat „U mety“, na zadziwienie powszechne, przełamał ustalone-możnaby powiedzieć — prawo psychologiczne twórczości, stwierdzając, że kontynuacja, ponad pierwotny zamiar, dzieła udanego przynosi naogół utwory mniej udane, wygasające.

Taka pewnego rodzaju proteuszowość twórcy, taki w dziele jego brak nawyku pisarskiego, brak skostnienia w monotonji stylu, taki fakt ustawicznie nawracającej nowości rodzajowej, dowodzą, że twórczość ta w stopniu szczególnie wysokim ma charakter inspiracyjny, rodzi się i rozwija z nagłych olśnień natchnienia. Dzieło jest tutaj nietyle owocem namysłu i kalkulacji artysty, ile właśnie sformowaniem w kształt literacki pewnej wizji świata, ogarniętej przez twórcę w jednym błysku znagła i w całości.

Otóż z tego, co się rzekło, mógłby niejeden oczekiwać wniosku, że dzieła dramatyczne Rostworowskiego to może i wspaniałe artystycznie osobne ogniwa, z osobnych zrodzone podniet, ale ogniwa rozsypane; możnaby przypuszczać, że tak znaczna rozmaitość jego utworów dramatycznych nie da się zespolić i w jedność wspólnoty rodowej. Tak jednak nie jest: wniosek podobny byłby mylny. Utwory Rostworowskiego, choćby najbardziej różne i odrębne: czyto misterjum dramatyczne o „Judaszu“, czy futurystyczna groteska „Straszne dzieci“, czy naturalistyczny dramat ludowy, słowem cała jego twórczość dramatyczna osadzona jest przecież wyraźnie na jednym wspólnym trzonie. Trzonem tym zaś jest jednolita, mocno utwierdzona koncepcja tragizmu, szerszej biorąc, koncepcja moralnego porządku świata i praw życia ludzkiego. Koncepcja ta, oryginalna i głęboka, stanowi też wogóle o odrębności fizjognomji Rostworowskiego jako twórcy, kształtuje jego twarz duchową w rysy osobne, jemu tylko właściwe.

Wskazując choćby w ogrubym tylko zarysie, na czem polega istota tej koncepcji tragizmu, dotkniemy zarazem sedna rzeczy w najwyższem z dzieł dramatycznych Rostworowskiego, rozejrzawszy się w formie ideowej „Judasza z Kariothu“.

Zaznaczamy najpierw, że Rostworowski — tragik zdecydowanie wyłamuje się ze struktury psychicznej, właściwej generacjom wiekuXIX. Dominująca w tym wieku ideologia romantycznego liberalizmu przyprawiła człowieka nowoczesnego o wyraźny zanik odczuwania grozy tragicznej. Wiek, który pierwszym artykułem swego credo uczynił ewolucjonizm, a nawet meljoryzm, który uznał postęp za bożyszcze wszechwładne, wiek ten nie mógł podtrzymać w duszach zmysłu tragiczności. Zło istnienia było dlań raczej tymczasowym wytworem niedoskonałego ustroju społecznego, czy zastoju umysłowego, a w znacznie mniejszym stopniu pierwiastkiem absolutnym; miało przecież zniknąć z pośród ludzi z nadejściem oczekiwanego tuż tuż złotego wieku wszechdoskonałości, Królestwa Bożego na ziemi. Wystarczy przypomnieć mesjanistyczne teorje o doczesności piekła, a przyszłem zbawieniu szatana, by sobie uprzytomnić tak właściwy dla tego wieku zanik odczuwania zła w całej jego straszliwej potędze. Nic dziwnego, że koncepcję życia, sformowaną w takiej atmosferze, charakteryzuje zdecydowany wydźwięk optymizmu. Nie oparł mu się wkońcu nawet twórca Masynissy.

Takie przymknięcie oczu na zło nie mogło się też nie odbić na konstrukcjach dramatycznych największych nawet tragików. Żeby w atmosferze psychicznej tak niekorzystnej uzyskać należyty patos tragizmu, pisarze ci uciekali się do osobliwego rodzaju sojuszów ideowych. Wyspiański np. dla spotęgowania tragicznej tonacji „Klątwy“ wziął w pomoc pogańską zasadę odpłaty; a w „Bolesławie Śmiałym“ postawił przeciwko sobie Króla i Biskupa, dwóch pomazańców, z których każdy czuje za sobą oparcie w prawie Bożem; jakby Bóg sam w sobie był rozdwojeniem i wieczystą antynomją. Tu i tam schodził twórca z podwalin chrześcijaństwa; nie dawały mu one widać dostatecznego oparcia dla konstrukcyj tragicznych.



Rys. Józef Mehoffer.

O Rostworowskim tymczasem powiedzieć musimy, że w dramatach swoich przywraca do głosu całą surowość grozy tragicznej i właśnie nadaje jej wymiary chrześcijańskie. Groza ta tchnie z wybijającej się ponad jego dzieła wizji „bram piekielnych“, wizji zła, ujawnionego tu w całej przepaścistości głębi, ale zarazem i w bezwzględności odosobnienia. Nasilenie wizji zła, przemożnego w duszy ludzkiej, ukazanie tego zła w działaniu, odsłonięcie tragicznego splotu winy i odpowiedzialności, wszystko to stanowi samą istotę rzeczy w dziele twórczem Rostworowskiego dramaturga.

To też najopaczniej błądzi, kto w dziele tem szuka stanowiska wręcz przeciwnego, kto np. w „Judaszu“ nie dostrzega, ujawnionej tam z całym etycznym rygoryzmem, obrzydliwości grzechu i perspektyw kary, ale radby się dosłuchać jedynie ulitowania nad prostym, cierpiącym człowiekiem; błądzi jeszcze więcej, doszukując się tam załamania się chrześcijaństwa, tragizmu „przełamującej się w człowieku idei“. Idea ta, zdaniem jednego z ostatnich krytyków, niedostosowana do nizin ziemskich, zbyt wysoka, błysnąwszy przed człowiekiem małym, nieszczęśliwym, „spycha go w hańbiącą przepaść zdrady“, ona zatem winna jest zatraty. Z tej nieboskiej tragedji widz ma wynosić jedynie uczucie litości dla małego, nieszczęśliwego człowieka, którego niepotrzebnie pociągnięto na wyżyny dlań nieosiągalne.

Trudno o bardziej błędne wyrozumienie idei tego dramatu. Boć nie to przecież jest tam sprawą najistotniejszą, że Judasz jest mały i nieszczęśliwy, ale to, że popadł w moc szatana, że jest jego narzędziem przeciwko dziełu zbawienia i że w moc tę oddał się on sam i sam w niej pozostaje. Owładnął nim sztan władzy i ziemskiego posiadania, jeden ze świtv Mefista, Raufebold czy Habebald. Z jego to podszeptu Judasz usiłuje wyzyskać boskie dzieło Chrystusa dla przewrotu społeczno-politycznego, zmierza do objęcia władzy nad Jerozolimą, do wywarcia zemsty na kapłanach Świątyni. Zawiedziony, z udziałem tego szatana wchodzi na drogę zdrady. Załamania się jego, ugrzęźnięcia w hańbiącej przepaści, winna tedy nie „idea nad siły“, ale winien człowiek, co brnąc w grzechu, samochcąc oddał się w moc zła. By tu mówić o „załamaniu się chrześcijaństwa“, o złowrogiem jego działaniu na duszę słabą, nieprzysposobioną do wysokich, za wysokich powinności, na zwyczajną, małą duszę, co jest jakoby „naturaliter a-christiana“, by tak mówić — trzeba chyba tylko... przymknąć oczy na tekst sztuki, na koncepcję autora, wyrażoną w dziele. Jest ona tam przecież najwyraźniejsza.

Nie szukając daleko, przypomnijmy sobie, co (w sc. 1 odsł. 2 aktu III) mówią o Judaszu nie wrogowie, ale bliscy: Salome, Magdalena i najbliższa, kochająca mimo wszystko, żona Rachela:

— On w swojej piersi serca nie ma...
— On zły. Za prawdę szedł dla chleba...
— On z ust wyrzucił chleb żywota.
I duch nieczysty onym miota...
— Nieczystym duchem nawiedzony.
Bluźni, złorzeczy, lecz nie kłamie.
On kłamał...

Sąd i orzeczenie wyraźne.

A kiedy przychodzi do przeciwstawienia obrony sądowi, — cóż począć — wierzymy nie jemu, gdy mówi:

Rachel. Posłuchaj. Ja nie wróg.
Ja nędzarz, —

ale jej, gdy odpiera:

Nie wierzę!...
A tyś bezradny, prosty tchórz!

Tak. Mamy tu do czynienia nie z małością, ale z grzechem. O tem, że Judasz był jakoby predystynowany na potępienie, że idea Chrystusa jest nad jego siły, o tem on sam wprawdzie chwilowo... kłamie przed Apostołami, ale niebawem sam też przyzna, że „i to nieprawda“. Prawdą jest to jedno tylko, że mu dusza stwardniała w złem, że mu w sercu „puka, rogiem stuka“ — szatan.

W ten sposób tragizm Judasza uzyskuje wymiary religijne, odsłania dalekie perspektywy idei chrześcijańskiej, idei odpowiedzialności za grzech. Podstawą zaś tragizmu, tutaj jak i w innych utworach Rostworowskiego, jest przerażenie ogromem zła, co się może zmieścić w duszy ludzkiej, odczucie przemocy grzechu wiodącego w wieczystą zatratę.

Jeszcze w dramacie o Judaszu to zło nie dochodzi do szczytu rozpanoszenia się, człowiek - narzędzie zła nie ma tam jeszcze pełni mocy: Judasz jest słaby, daje się Kaifaszowi zastraszyć, jest poprostu tchórzem. Ale autor pokazał go niebawem w nowem wcieleniu, w całej mocy rozbestwienia, spotykamy go przecież w „Miłosierdziu“ jako Włóczęgę, siewcę zniszczenia i rzezi, przyznającego z cynizmem, w pełni czelnego zuchwalstwa, kim jest i czego chce na ziemi:

Tu jest rola garncarzowa
Zamieniona w rolę krwi.
A na roli, chciwy złota,
Pierwszy Judasz Iskariota
Sieje gwałt i z Boga drwi.

Przy takiem, jakie widzimy w dramatach Rostworowskiego, wzmocnieniu poczucia przemożności zła, mogącego się osadzić w duszy ludzkiej, przy takiem przeraźliwem odsłonięciu nędzy człowieka zatopionego w nieprawość, mogłoby się zdawać, że zasadniczą tonacją duszy dramaturga będzie głęboki, integralny pesymizm. Jakoż rzeczywiście ponad przepaściami nędzy istnienia nie przerzuca Rostworowski kładek wiotkiego optymizmu. To prawda. Wbrew złudom w. XIX o przyrodzonej jakoby konieczności zejścia Królestwa Bożego na ziemię skłonniejszy jest przyjąć, że u schyłku swego istnienia ludzkość schnąć będzie w ucisku i tęsknocie, i de profundis wołać musi o wybawienie. Zwłaszcza „Miłosierdzie“, utwór, w którym autor najszerzej zakreślił był swą historję, nie zostawia nas co do tego w wątpieniu.

Jednakowoż przy tej koncepcji tragizmu nie sposób mówić o pesymiźmie bezwzględnym. Droga Judasza w wieczystą zatratę nie jest zakreślona jakimś fatalizmem predestynowanym, a krwawe dzieło Włóczęgi nie zatriumfuje ostatecznie nad światem. Potęga zła, panoszącego się w plemieniu człowieczem, zawisła od przechylenia się doń duszy grzesznika, a wymiary tej potęgi, choćby najpotworniejsze, nie są przecież nieograniczone. Z dramatów Rostworowskiego, odsłaniających przed widzem straszliwe przepaści zła, trawiącego duszę ludzką, ujawniających zarazem zasłużoną mękę tej duszy, wydźwięka przecież głos, przemawiający coś jak głos Chrystusa w hymnie Mickiewicza: „Synu, idź tu za mną prosto. Złe jest mądre, a widzisz, że ja prostszy, a mędrszy od niego; obszedłem je, zdybaliśmy je, wydane jest w ręce twoje. Złe jest zbrojne, a ja nie boję się go bezbronny; patrz blednieje i ucieka“. Nie wygasa i nie cześnie, ale ucieka.

Wiesław Gorecki, Kraków

Pogadanka o K. H. Rostworowskim

Obecnie Kraków i cała Polska składają hołd naszemu najznakomitszemu współcześnie pisarzowi dramatycznemu: Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu. Szpalty pism pełne są omówień wspaniałej działalności artystycznej twórcy „Judasza", „Kaliguli", „Miłosierdzia", „Niespodzianki" i tylu innych arcydzieł. Może nie od rzeczy będzie w tym okresie spojrzenie na czcigodną postać Jubilata, nietylko jako na pisarza. Działalność Rostworowskiego, wypowiedziawszy się najkonkretniej i najpiękniej w dziale dramatu,obejmuje również twórczość muzyczną, publicystykę, reżyserję, krytykę. Ale nie wolno zapominać, nam i o krasomówstwie Rostworowskiego, oraz o tem, co charakteryzuje pisarza, jako człowieka: o niesłychanie życzliwem odnoszeniu się do współbraci w zawodzie pisarskim, szczególnie z najmłodszego pokolenia.

Z wielkopańską niedbałością traktuje Rostworowski swój dorobek kompozytorski. Wielokrotnie próbowano nakłonić mistrza do opublikowania bodaj jego pieśni. Ale Rostworowski odsyła swój plon muzyczny ad acta. Nie musimy dodawać, że całkowicie niesłusznie. Wspomniane utwory ,acz przeważnie powstałe jeszcze za pobytu Rostworowskiego w Lipsku, tchną do dzisiejszego dnia świeżością, barwy ich nie spłowiały ani częściowo. A warto doprawdy słuchać, z jaką straszliwą wzgardą wyraża się Rostworowski o sobie, jako o pianiście. Nie trzeba dodawać, że jest pierwszorzędnym pianistą. Zwłaszcza w subtelnej, koronkowej interpretacji tworów Bacha i Chopina.

Przejdźmy do sławnych mów Rostworowskiego. Były one zawsze wygłaszane ex abrupto, improwizowane. Tylko jednostka o tak wszechstronnem wykształceniu i tak rozległym widnokręgu myślowym może pozwolić sobie na rzecz następującą: zwracają się do Rostworowskiego z prośbą, aby zechciał zastąpić chorego prelegenta. Dzieje się to 5 minut przed odczytem. Rostworowski zapytuje się: jaki temat? Wchodzi na estradę i przenikliwym, docierającym do zakątków duszy głosem przemawia wyczerpująco, z bezpośredniością, z ogniem. Jego sztuka krasnomówcza to dar Boski, to fluid, spływający na audytorjum. Jeśli kiedy odnosiło się wrażenie — jakże zmonopolizowane przez literaturę — ciszy wśród publiczności, w czasie której słyszałbyś przelatującą muchę, to właśnie słuchając Rostworowskiego.

Miarą nieodpartego wpływu na otoczenie, jaki wywiera ten mówca znamienity, może być następujące zdarzenie. Kiedyś Rostworowski omawiał zagadnienia w malarstwie, transponując je w dziedzinę muzyki. W pewnej chwili rzuca w tłum zdanie:

— To samo odnieść możemy, jeśli idzie o muzyków do . . . no — jakże się ten nazywa? Ktokolwiek inny na miejscu Rostworowskiego spotkałby się z ironicznemi uśmieszkami. Jakto? Mówca w zacietrzewieniu, w ferworze zapomina czyjegoś nazwiska i zwraca się z tem do słuchaczy . . . Ale trzeba było wówczas obserwować zaskoczone audytorjum. Wszyscy, bez wyjątku, czuli się współwinowajcami, nie mogąc poddać Rostworowskiemu żądanego nazwiska. Jakby to było obowiązkiem publiczności . . . Z końca sali odezwał się nieśmiało głos:

— Debusy.

— Nie — odpowiada ze złością Rostworowski i zaciska niewiarygodnie wąskie usta.

Inny głos wypowiada lękliwie:

— Milhaud.

— Ano właśnie. Milhaud — oświadcza Rostworowski. Zatem jeśli idzie o niego —

I przemawiał z właściwą sobie, niezrównanym temperamentem, a sala odetchnęła. Zazwyczaj w takim wypadku oddycha mówca. Siła Rostworowskiego sprawiła coś wręcz przeciwnego.

Rostworowski jako reżyser. N. b. nie oficjalny, lecz przychodzący na próby swych dzieł. Zagadnijmy aktorów, współuczestniczących w spektaklu mistrza, ile zawdzięczają wskazówkom reżyserskim autora. Jak poddaje im zasadniczy ton, jak opracowuje szczegóły w kostjumie, masce, dykcji, dynamice. Rostworowski roznamiętnia się do tego stopnia, że odgrywa całe sceny, obojętnie, czy obliczone na dwie, czy trzy osoby czy na większy zespół. Po skończonym pokazie zespół teatralny impulsywnie oklaskuje autora, reżysera i aktora w jednej postaci.

W działalności Jubilata niepoślednie miejsce zajmuje publicystyka i krytyka. Do dzisiejszego dnia ocenia Rostworowski tomiki młodych poetów na łamach „Kurjera Poznańskiego". Ma tedy ogół sposobność do zapoznawania się z jego poglądami na naszą, najmłodszą literaturę. Natomiast nikt prawie nie wie, jak mistrz odnosi się w życiu prywatnem do początkujących wierszo- i prozopisów. Prosty przykład:



Jeden z licznych embrjonów literackich, zapewne wierszopis — przypomnijmy sobie zdanie Makuszyńskiego: „Bo w Polsce mniej jest zboża niśli wierszy" — rozmyśla i marzy. O czem? O tem, aby Rostworowski ocenił jego pracę. Ale jak to uczynić? Posłać nieznanemu osobiście pisarzowi swoją książkę? Nie wypada. Przypuszczalnie ma inne zajęcia od lektury niepozornych tomików wierszy. Koledzy namawiają go:

— Idźże do Rostworowskiego.

— Nie znam go.

— To go poznasz.

— A jak mnie wyrzuci za drzwi?

— Zaprawdę, powiadam ci, lepiej wylecieć za drzwi u Rostworowskiego, niż spotkać się z gorącyem przyjęciem u jednego z naszych luminarzy pisarstwa.

Adept literatury zbiera odwagę, sam ją zresztą określa jako bezczelność. Przybywa do Rostworowskiego. Wyłuszcza swą prośbę i czeka ewentualnego wylotu z mieszkania.

— Dobrze, panie. Przeczytam. Proszę do mnie przyjść . . .

— Może za jaki miesiąc? . . .

— Cóż znowu. Jutro o tej samej porze.

Adept wybija pokłon i zmyka, nie wierząc własnym uszom. Chyba mistrz nie zdąży przeczytać. Tembardziej, że pracuje teraz nad drugą częścią „Niespodzianki". Następnego dnia embrjon zjawia się o umówionej godzinie. Po powitaniu, Rostworowski rzecze:

— Chwileczkę. Tylko skończę to zdanie. Pan będzie łaskaw zaczekać.

Istotnie embrjon jest na tyle łaskawy i pozwala Rostworowskiemu na skończenie tego zdania. Nawet łaskawość swoją posuwa do tego stopnia, że najspokojniej w świecie zagląda piszącemu przez ramię. Spostrzega zdanie:

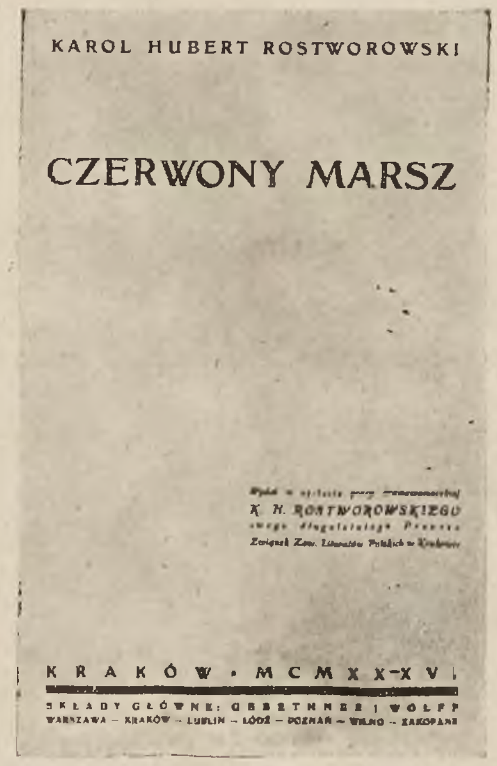
„Oni się kochają, mamusiu".

I oto pierwszy akt „Przeprowadzki" skończony. Rostworowski ciska pióro na biurko, zwraca się do przybysza:

— Co do pańskich rzeczy, sprawa jest tego rodzaju, że . . .

I tu następuje analiza, wprost drobiazgowa, każdego zdania, świadcząca, jak dokładnie Rostworowski zaznajomił się z pierwszą próbą młodego człowieka. Przytaczamy, bynajmniej nie odosobniony wypadek. Pierwszy lepszy z brzegu.

Jakkolwiek Rostworowski nie przyznaje się do tego, stworzył on własną szkołę pisarską. Najzdolniejszemi jego uczniami są bezsprzecznie: Bunsch i Niżyński. Pokutuje u nas dziwne uprzedzenie co do terminu: „uczeń" w literaturze. Kiedy każdy młody plastyk podkreśla z dumą, czyim jest uczniem, już o wiele rzadziej można się spotkać z podobnem określeniem u muzyków. A u literatów? Powyższa nazwa jakoby przynosiła im ujmę. Niech tam sobie plotą, co zechcą. Osobiście uważam, że być „uczniem" Rostworowskiego, to zaszczyt nielada, którego niewielu dostąpi.



Związek Zawodowy Literatów w Krakowie, którego prezesem jest K. H. Rostworowski, uczcił dwudziestopięciolecie jego pracy dramatycznej, wydając fragmenty dramatu „Czerwony Marsz", jako druk bibljofilski, dwukolorowy (czerwone i czarne).

Nasuwa się pod uwagę przysłowiowa skromność Rostworowskiego, o której możnaby pisać całe tomy. Owa skromność jest przywilejem prawdziwej wielkości. Rostworowski np. nie cierpi wywiadów, a nagabywany mówi zawsze o innych, o sobie najmniej lub wcale nie. Sam nazywa się uczniem Solskiego, jeśli idzie o zgłębienie tajników rzemiosła scenopisarskiego. I chyba niema współcześnie tak zespolonych nazwisk, jak Rostworowskiego z Solskim. O swoich dziełach Rostworowski nie wyraża się: moje utwory, lecz moja sztuka, mój dramat, przyczem zawsze nastrojony jest wobec nich nader krytycznie. Raz tylko czytając swemu znajomemu „Przeprowadzkę", odezwał się po skończonym trzecim akcie:

Niebrzydka scenka. Co?

W tejże chwili zawstydził się i szybko zmienił temat rozmowy . . .

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

Sztuka w 4 aktach

7

FRANEK
Po części upał a po części... skoro to pana tak interesuje... Do roboty kładziemy byle co. Najchętniej pracowalibyśmy nago.

STARSZY PAN
Mhm. — (Po chwili). Bo widzi pan... przypadek zdarzył, że dowiedziałem się o panu...

FRANEK
Od kogo, jeżeli wolno zapytać?

STARSZY PAN
Właściwie od nikogo. Zbieg okoliczności.

FRANEK
Byłbym niezmiernie ciekawy poznać...

STARSZY PAN
Pozwoli pan, że narazie wstrzymam się od bliższych wyjaśnień...

FRANEK
Proszę bardzo.
(Pauza).

STARSZY PAN
Ile pan ma lat.

FRANEK
Dwadzieścia sześć.

STARSZY PAN
Służył pan w wojsku?

FRANEK
Nie służyłem.

STARSZY PAN
Czemu.

FRANEK
Bo mnie nie wzięli.

STARSZY PAN
I pan twierdzi, że panu wolno bezkarnie dźwigać po sto sześćdziesiąt kilogramów naraz, przez ośm godzin dziennie?

FRANEK
To zupełnie co innego.

STARSZY PAN
Nie, panie Szywała. To zupełnie to samo. Jest pan... mizerny... Za miesiąc, dwa, stanie pan wobec sytuacji bez wyjścia...

FRANEK (machając ręką, bardzo nerwowo).
Oh!...

STARSZY PAN
Co pan powiedział?

FRANEK (zmieszany).
Nic.

STARSZY PAN
Przeciwnie. Bardzo wiele.

FRANEK
Myli się pan.

STARSZY PAN
Nie, panie Szywała. Nie mylę się. W pańskim wieku takie „oh!" ma jedno jedyne znaczenie. Pan już dzisiaj dobywa resztek sił.

FRANEK
A choćby.

STARSZY PAN
Tak pan sądzi?

FRANEK
Tak sądzę.

STARSZY PAN
No, a wtedy... cóż wtedy z pańską... siostrą?

FRANEK (szybko spoglądając na starszego pana).
Z moją siostrą?

STARSZY PAN (kryjąc zmieszanie).
Przecież... o ile mi wiadomo — przynajmniej zdaniem pana Ciepiela — jej wyjątkowa uroda... w braku środków do życia i odpowiedniej dyrektywy może ją narazić...

FRANEK, (który nagle zrozumiał, przerywając).
Przepraszam pana. Czy to pan dzisiaj na ulicy świętego Jana...

STARSZY PAN, (który niespokojnie spojrzał na Franka, z cudowną prostotą).
Ja.

FRANEK
Proszę. Niech pan mówi dalej.

STARSZY PAN
Przepraszam pana. Prawdopodobnie miał pan relacje...

FRANEK
Nie, nie, nie. Proszę mówić dalej.

STARSZY PAN
Bo jakiś mody człowiek...

FRANEK
Wiem, wiem. Ale to nie należy do rzeczy.

STARSZY PAN
Panie Szywała. W dzisiejszych czasach nawet najczystsze zamiary...

FRANEK
Oczywiście. Oczywiście. Słucham pana.

STARSZY PAN
Pan mi nie ufa.

FRANEK
Przeciwnie. Każde pańskie słowo potrafię należycie ocenić.

STARSZY PAN
Kiedy ja czuję, że pan mi nie ufa.

FRANEK
Wobec tego nie mam sposobu...

Luceoriensis, Lublin

Dynamika doktryny narodowej

Nad światem stoi luna pożaru. Miljony rąk wzniesionych wołają o zdecydowane programy społeczne. Młodzież zelektryzowana idzie pierwsza w walce o nowe jutro. Narody w dumnej radości i cierpieniu tworzą właściwe sobie zręby ideowe i programy. Pali się ziemia pod stopami tych, którzy nie rozumieją idących dni.

Gdziekolwiek spojrzysz: wre walka ducha i praca napiętych muskułów — planowa. Wstają czyny nadludzkie — jasne w swym pięknie, jak słońce. Podziw cię ogarnia i zazdrość.

Daleka Japonja idzie naprzód: 100 miljonów dąży do pozytywnych celów, którym nie możesz odmówić wartości. W Stanach Zjednoczonych interesują cię reformy socjalne i polityka prezydenta. W Niemczech doszli do władzy narodowi - socjaliści, wcielając w czyny tęsknoty swych mas. I znów nie możesz zaprzeczyć, że z ich (germańskiego) punktu widzenia realizują wiele, po marazmie liberalizującej republiki wejmarskiej. Italja odrodzoną została przez ruch, który przekuł i przekształcił psyche jej ludu w ciągu krótkich lat 13, wydobywając na powierzchnię życia nowe wartości i siły drzemiące. Miejmy odwagę stwierdzić, że i w Z. S. S. R. buduje się życie, chociaż obce nam duchem. I tam, gdzie wskazano wyżej, czynione są wysiłki kosztem niezmiernych ofiar — dla idei, boć wszędzie i zawsze miarą ludzkiego tworzenia jest tylko dobro społeczności. Czyż na tym koniec?

Strupieszałą Francję chcą podnieść nacjonaliści, rzucając hasła odrodzenia, z wiarą, że wielki naród nie zginął. W Rumunji rośnie w siły Żelazna Gwardja. Gdzieś w Indjach w piersi Gandhiego począł się ruch narodowy Swaraistów. Tworzy się nowa Turcja. Budzi się Syrja. Gotuje się Egipt do wyzwolenia pod kierunkiem nacjonalistycznego Waadu.

Wszędzie miłość kraju rodzi szeregi gigantów, którzy tworzą na jawie, planują i budują — wsparci o wiarę i zaufanie mas.

Gdzież jest Polska? Kraj, który od 1000 lat posiadał idee prężne. Czyż ma pozostać w jednym szeregu ginących społeczności Hiszpanji i Chin, rozkładających się moralnie.

Czyż przeżarła nas niewola, że nie potrafimy się podnieść? Czyż spętani własną korupcją, zatruci mackami polipa żydowskiego i obcego kapitału nie zdolni jesteśmy do wiary we własną ziemię. Czyż zabiło w nas człowieczeństwo tragicznym faktem rozdarcia państwa od narodu własnego? Każde takie zdanie pali ogniem czoła i zalewa wstydem, wobec tych co zginęli dla Niej, wobec tych co przyjdą! Wobez tych miljonów, które wegetują dziś bez jutra. Tymczasem wegetuje bezsensowny kompromis, bezduszny w swej bezprogramowości.

Na przekór wszystkiemu budzi się między nami moc, która sprzęga chłopa, robotnika i inteligenta w jedno stalowe kolisko, tak jak to się stało w okopach r. 1920. I gdy przyłożysz ucho do ziemi, czy do piersi rodaka — to usłyszysz to samo bicie rytmiczne: oto odnajdujemy się wszyscy — my — wielki, najdziwniejszy naród! Polska nie zgaśnie juz w sercach, rozpłomieni je — i wskaże drogi do zwycięstwa! Musimy pamiętać, że wyraz naszego odrodzenia znajdziemy tylko wewnątrz siebie — nikt nam nie pomoże.

Transplantowanie żywcem wzorów i reform obcych jest dla nas nie do przyjęcia. Każdy naród bowiem ma swój wyłączny wyraz ideowy, swą strukturę społeczną i potrzeby własne.

Taką treść rodzimą posiada Polska. Jednocześnie pozbyć się należy słomianych ogni i romantycznych porywów, które prowadzą do depresji. Zdecydowana wola, energja wykonania, męska wytrwałość w dążeniu do celu wraz z realizacją programu — stworzą siłę — której nic i nikt przeciwstawić się nie zdoła.

(Dokończenie na str. 4-tej)

Wartości i granice formalizmu

Na zaproszenie Koła Polonistów S. U. J. w Krakowie wygłosił odczyt prof. U. S. B. wileńskiego, dr. Konrad Górski n. t. „Wartości i granice formalizmu“, który częściowo był powtórzeniem wywodów prelegenta z czasu Zjazdu im. Krasickiego we Lwowie. Ponieważ zagadnienia formalizmu dość żywo zajmują młode polskie pokolenie, podajemy streszczenie prelekcji prof. Górskiego

Dyskusja lwowska w czasie Zjazdu im. Krasickiego uczyniła sprawę formalizmu u nas aktualną, co przejawia się zwłaszcza na łamach prasy. Odnieść można wrażenie, że utworzyły się w Polsce dwie partje: zwolenników i przeciwników metody formalistycznej. Tymczasem są dwie inne partje: badaczy i zwolenników metody wyłącznie estetycznej i uznających ją za jedną z wielu nie wyłączną drogę badania. Sam prelegent zalicza się do badaczy nie walczących z formalizmem, który nie jest niczem nowem, ale przeciwnych wyłączności rzekomo jedynie literackiej metody. Nietolerancyjni są tylko entuzjaści formalizmu.

Metoda ta ma swoje w a r t o ś c i. M. in. pogłębienie prac nad stylistyką i uwypuklenie roli języka w badaniach estetycznych. A to są wartości znaczne. Docenił je należycie zmarły docent U. P. ś. p. Teodor Tyc, który pisał w swoim pamiętniku: „Stylistyka prowadzi do najgłębszych pokładów rzeczywistości“, uczy, jak „słowo stało się ciałem“. Słusznie formalizm przywrócił wagę słowu, oświetlił funkcję produktów języka wedle artystycznego celu. Doniosłemi rzeczami jest postawienie typologji stylów, śledzenie związków między różnemi sztukami. Celem ostatecznym formalizmu jest związek stylu artystycznego epoki z całokształtem jej dążeń.

Polscy neofici jednak przesadzają w zapale dla formalizmu. Stoją oni pod wpływami, do czego się przyznają, teoryj rosyjskich. I otóż w Rosji wielu formalistów jest umiarkowanych. Właśnie Żirmunski, sztandarowy formalista, bóstwo dla naszych formalistów, należy do tych umiarkowanych i rozsądnych. Różni się w tem znacznie od Szkłowskiego i Eichenbauma.

W tym samym zbiorze, co tłomaczony przez naszych entuzjastów formalizmu „Wstęp do poetyki“, t. j. w zbiorze p. t. „Woprosy teorii literatury“ jest rozprawa Żirmunskiego p. t. „K woprosu o formalnom metode“, gdzie zawarta jest ostra krytyka jednostronności formalizmu (reprezentowanej głównie przez Szkłowskiego i Eichenbauma). Szkłowski głosi: w dziele literackiem wszystko jest artystycznym „chwytem“ (termin ten jest niezbyt udałem tłumaczeniem rosyjskiego p r i j o m, który ma szersze i szlachetniejsze pojęcie; polskie odpowiedniki mogłyby brzmieć: zabiegi albo sposób, choć wyrażają zbyt mało aktywizmu). Nie uwzględnia przywódca formalistów, że w dziele literackiem mogą mieścić się refleksy społeczne, religijne, polityczne etc. Można zakresy badania literackiego rozłączać, ale nie można wykluczać uprawnień różnych badań. Czysta sztuka jest b. późnym objawem działalności kulturalnej. Do dziś istnieje synkretyzm sztuki i innych działań ducha. I niepodobna przeprowadzić ścisłej granicy między poezją a „retoryką“ (sztuką z funkcjami ideowemi). To zarzut pierwszy pod adresem talmudystów formalizmu.

Zarzut drugi: formalizm dąży do syntez. M. in. chce stworzyć historyczną poetykę. Ale historja poetyki nie pokrywa się z historją literatury. Dlaczego powstają nowe rodzaje literackie? Skrajni formaliści dowodzą, że dla potrzeb nowej formy. Właśnie Szkłowski uważa sztukę za „uniezwyklenie zjawisk artystycznych“. Chodzi tymczasem o nowe treści. Gdyby szło o formy, sztuka musiałaby rozwijać się według kontrastów. Rzeczywistość pokazuje co innego. N. p. romantyzm wcale nie jest zupełnem zaprzeczeniem klasycyzmu. Żirmunski głosi, że nowe formy artystyczne — to nowe poglądy na świat. Niema bowiem nowych zjawisk oderwanie artystycznych.

Zarzut trzeci skrajnym formalistom: Dowodzi Żirmunski, że wszystkie sztuki można podzielić na abstrakcyjne i tematyczne. Abstrakcyjne nie mają ściśle określonego duchowego sensu, kierują się zasadą kompozycyjną (malarstwo, muzyka). Tematyczne wyrażają nasze treści duchowe. Otóż sztuki tematyczne, treściowe nie dadzą się roztopić w zagadnieniach kompozycyjnych, boby się utożsamiało zjawiska jakościowo różne. Z tego błędu płyną fałszywe ujęcia całych utworów. Powieść zasadza się na ruchu elementów tematycznych, decydujących o kompozycji. Szkłowski uważa, że dzieło sztuki, to tylko stosunek materjałów.

Zastrzeżenia przeciw formalizmowi, jak widać, są nie zastarzałe, ale rozsądne, mają obieg i w Rosji. Tam te zastrzeżenia podnoszą ci właśnie, co najwięcej w dziedzinie formalizmu stworzyli.

Można jeszcze podnieść inne zarzuty przeciw formalizmowi, prócz tych, jakie postawił Żirmunski. Można wskazać g r a n i c e formalizmu. Badania formalistyczne opierają się na analizie. Jest to więc zabieg zupełnie opisowy. Opis zaś i klasyfikacja są metodami przyrodniczemi. Lecz nawet w przyrodzie nie wyczerpują istoty jej zadań, a cóż dopiero w dziedzinie humanistycznej. Wszak ogromne różnice zachodzą miedzy naukami przyrodniczemi a humanistycznemi (jak dowiedli m. in. Dilthey, Rickert). Poetyka nie styka nas z procesem twórczym duchowym, który zostaje poza jej nawiasem. Tymczasem poetyka to prawodawstwo, której przeznaczeniem jest jego nieustanne łamanie. Obalanie szablonu — to rola talentu.

Formalizm walczy namiętnie z ideologją dzieł, z moralizmem. Ideologja dzieła — to jednak jego problematyka. Aby dzieło zinterpretować, a więc zbadać do głębi, trzeba rozwiązać jego problematykę. Interpretacji nie dokonamy bez wniknięcia w ideologię dzieła. Jakkolwiek ideologja — według zacietrzewionych formalistów — jest w dziele sztuki banałem Tak twierdzić może tylko zacieśnione sekciarstwo

Treść i forma są elementami nierozerwalnemi — słusznie. Z tej tezy jednak formaliści wysnuwają niesłuszny wniosek, że terść nie istnieje poza dziełem w tej samej postaci, co w dziele. Alež między tą treścią a pokrewnemi mogą być bardzo ważne i istotne związki, których badania wyrzec się nie możemy. Wprowadzanie w miejsce dualizmu „treść i forma“ — innego „materjał i chwyt“ (Żirmunski), to wprowadzenie niekonkretnych pojęć opozycyjnych wobec realnych i niedwolalnych określeń. Żirmunski często mówi o „treści“, nie mogąc się widocznie bez tego pojęcia obejść, choć daje przy niem cudzysłów.

Poezja według wymagań formalistów mogłaby być dostępną tylko dla ludzi biegłych w rzemiośle formalistycznem. Gdy obserwujemy komiczne niekiedy wnioski formalistów przypomina się zdanie prof. Zielińskiego z jego wstępu do monografji o Sofoklesie :gdy ludziom sprzykrzy się chodzić na nogach pada „zbawcze hasło“: chodźmy na głowie A gdy to się znudzi, pada prawdziwie zbawcze słowo: znowu wolno chodzić na nogach. Otóż formaliści siebie i drugich przekonają do chodzenia na głowie. Wartości formalizmu tkwią w nauce, że dzieło jest głównym przedmiotem badań literackich, a że język jest głównym tych badań materjałem. Ale formalizm nie uwzględnia, że dzieło literackie jest tworem duchowym i twórczym, oddziaływującym. Sam formalizm syntezy historyczno - literackiej dać nie może.

Streścił J. BIELATOWICZ



Z Wawelu
Linoryt E. Kowalskiego, Kraków.

Zbyszko Bednorz, Katowice

LĘK

Z za pieca, z omotów pajęczyny,
Z stęchłej wygody kurzu,
Z mdłej zawiesiny,
Z nieokreślonych przeczuć, co ornie się płużą
W miąższu rozległej przestrzeni
Rósł —
Już na krawędzi dachu wysokiej kamienicy
Rozpoczwarzyl się mchem cieni
I w ciemny zaniebieszczył się granat tajemnicy —
Sunął bokiem,
To kochankiem był mur
W bawialni nad obłokiem,
To pchał swój ciężarny wóz
W przedługiej latarń ulicznych sieni.
Wóz myśli — niemyśli,
Wóz smutku ciemnych i jasnych promieni.
Ni rozdzielić ich kołtuniaste sploty,
Ni je zamknąć w żelaznej skrzyni zapomnienia.
On — Lęk — mocarny
Wziął je na swój grzbiet — —
Jak dymy lokomotyw
Szarpały się wstecz — — —

Wczesywane na telefoniczne druty
Kłębiły się rozdrobnione,
Zebrał je klątwą w siebie!
Tak organy zbierają
W pięciolinjach roztańczone nuty.

Raz był daleko: aż na progu w niebie
Gdzie wieczność...
— Wieczność, ale dlaczego jest wieczna... wieczna...
Zachyśnięty gniewnym pomrukiem
Spadł jak opada piana rzeczna...
Zatańczył wściekły fox z djablicą — brukiem —
Aż spocił się beznadzieją samotnością...
Przeszły go zimne i gorące dreszcze — — —
Jakieś rozejście się otchłanne nicości,
Jakieś przeogromne coś w wielkim rozhoworze...
Coś, co mogłoby się zamknąć w jego kleszcze —
Szukał... szukał... szukał...
Mój Boże! — — — !
Teraz wpadł w duszę objętości szerszej
I z niej potoczył się perłą — wierszem.

STARSZY PAN
A właśnie chciałem zrobić panu pewną... propozycję.

FRANEK
Naprzykład?

STARSZY PAN
Żeby pan... zamieszkał...

FRANEK (przerywając).
...u pana?

STARSZY PAN
Tak jest — i aż do ukończenia studjów...

FRANEK (j. w.).
...korzystał z pańskiej pomocy

STARSZY PAN
Tak jest.

FRANEK (prawie cedząc słowa).
A wtedy... cóż wtedy z moją siostrą?

STARSZY PAN
Przecież samo się przez się rozumie...

FRANEK (b. sucho).
Że co.

STARSZY PAN
Że skoro pan...

FRANEK (j. w.).
...to i ona.

STARSZY PAN (coraz bardziej zmieszany).
Oczywiście. Inaczej byłoby...

FRANEK (wciąż kończąc za Starszego Pana).
...bezcelowe.

STARSZY PAN (j. w.).
Dlaczego.

FRANEK
Dlatego, że jej „wyjątkowa uroda“, w braku środków do życia i odpowiedniej „dyrektywy“ poszłaby z całą pewnością na marne.

STARSZY PAN
To też otrzyma pierwszorzędne wychowanie... zapewnię jej karjerę...

FRANEK (przerywając).
Kokoty?

STARSZY PAN
Widzi pan, jak mnie pan fałszywie sądzi. Miałem na myśli karjerę... artystyczną.

FRANEK
„Artystyczną“. Dobrze. Godzę się na wszystkie punkty z wyjątkiem jednego.

STARSZY PAN
A mianowicie?

FRANEK
Zamieszkam u pana, ale — sam.

STARSZY PAN
Przecież niemożliwe, żebyśmy takie prawie dziecko...

FRANEK
Dla takich „prawie dzieci“ są pensjonaty prywatne, zakłady wychowawcze, klasztory...

STARSZY PAN
Panie Szywała...

FRANEK (ciągnąc dalej).
...więc dam panu doskonałą radę. Wybierzmy razem odpowiedni zakład — zapłaci pan zgóry za rok — po roku zobaczymy, czy warto kształcić ją dalej, czy nie — jeżeli okaże się, że warto, to pan znowu zapłaci zgóry za rok — i tak w kółeczko aż do skutku — a potem? Potem już sama obierze sobie „karjerę“, ale taką, która „jej“ najbardziej przypadnie do smaku. Zgoda?

STARSZY PAN
Panie Szywała...

FRANEK
Aha! I jeszcze jedno. Zobowiąże się pan nie widywać jej nigdzie indziej, jak tylko w danym zakładzie, albo... we trójkę. Zgoda?

STARSZY PAN
Nie mogę powiedzieć, żeby się pan zbytnio liczył z moją osobą.

FRANEK
W tym wypadku pańska osoba odgrywa podrzędną rolę.

STARSZY PAN
Mówi pan językiem młodości. A język młodości jest przerażająco bezwzględny.

FRANEK (twardo).
Dbam o dobre imię małoletniej i, jak pan Ciepiel zauważyć raczył, wyjątkowo urodziwej siostry.

STARSZY PAN
Ma pan słuszność. Jednak... (nagle roztrzęsiony) Panie! Pan nie wie! Pan nie może wiedzieć, czem jest samotność starszego człowieka... Panie. Ja sam własnym oczom nie wierzę. Ja? tutaj? z panem?... Ja, który mógłbym wszędzie... a ja tutaj z panem... (po wyjęciu chustki do nosa i dyskretnem obtarciu czoła). Bo niech pan zechce rozumieć. Bywają wypadki..., że kto przez całe życie nigdy naprawdę nie ten... to z wiekiem... nagle... ni stąd ni zowąd... i to właśnie żeby jak najprościej... jak najdalej od tych rozmaitych.. (po złapaniu oddechu). Ja mam środki Ja mam stosunki! Ja mogę bez najmniejszej trudności...

FRANEK (przez zęby, przerywając).
A ja i tak mojej siostry nie sprzedam.

STARSZY PAN
Panie. Niech się pan zastanowi. Tuta o żadną sprzedaż nie chodzi. Jeżeli pan sobie życzy, jeżeli pan wymaga... gotów jestem... gotów jestem nawet za... zaadoptować...

FRANEK
A ja i tak mojej siostry nie sprzedam! Albo małżeństwo, albo nic!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Bross, Poznań

L. Mierosławski winien czy nie winien?

(Na marginesie artykułu Adolfa Nowaczyńskiego „Mierosławski zrehabilitowany?")

Co do aktu zaskarżenia przeciw samemu spiskowi, takowy oprzeć się musiał, nie na żadnym memoryale dla króla lub Humboldta wygotowanym, ale w kolorach, w jakich zeznania Mierosławskiego zaleciły sprawę Polską sądowi Europejskiemu, odpókąd zapowiedziano nam procedurę jawną. Nie Mierosławskiego wina, jeżeli zamiast obowiązującej solidarności, jeżeli zamiast spodziewanego bo należnego mu wtórowania, napotkał same wykręty i zaprzania które najprzychylniejszemu sprawie Polskiej piśmiennictwu wytrąciły pióro z ręki. Bo też nie sam Demokrata Polski, jak się J. Moraczewskiemu widzi, ale cała obu półkul stenografia już zasiadała na piętrach kolizejskiego trybunału, ażeby uchwycić pierwszą skargę jaka się z szesnastoletniego czyśca Polski wydobywała do konwulsyjnie rozrzewnionej, do drżącej od macierzyńskiego żalu Ludzkości. Tak doniosłej mównicy i tak przychylnych słuchaczy, jubileusz nawiedza ujarzmione narody raz zaledwie w stuleciu; Polski żałobę nawiedził raz w całym ciągu jej dziejów, i więcej nie nawiedzi. Bo jeżeli w tych chwilach, Scewolom skrzywdzonego plemienia zabraknie męstwa do parzącej spowiedzi, stuletnie na nowo milczenie, stuletnia świata obojętność wtrąca napowrót całe plemie do czyśca niedosłyszanej rozpaczy.

Miałże Mierosławski nie czuć i nie słyszyć, co, wyjąwszy szlachty na Pałukach, wołała don przez wszystkie szpary więzienia Europa? Ile że dla uświęcenia słowa swojego w jej przeświadczeniu, i z oskarżonego zostać zaskarżycielem ciemięstwa, Mierosławski nie potrzebował ani pół nowego zeznania uczynić, skoro krew od lat dwóch pluskająca z tysiącami nazwisk pod sam tron Boży, ani jednego nazwiska nowego, ani jednego czynu utajonego do wygadania mu nie pozostawiły. Mierosławski, natenczas prosty zapozwy narodowej wozny, potrzebował jeno ażeby się nikt odważonego raz zeznania nie zaparł, i tyle akurat pozostał szczerym przez sądem Chrześciaństwa, ile nim już był dla inkwirentów tajnych.

Aż do końca Maja 1846, epoki, w której ostrzeżony o przemianie procedury pruskiej na istne areny dla Demokracyi wojującej, Mierosławski ustalił w sumieniu swojem plan ogólnej obrony, już mu przedstawiono dwadzieścia i dwa zeznań obejmujących więcej niż rządy wiedzieć pragnęły, więcej niż im potrzeba było do zakatowania całej Polski. Jedynym jego przemysłem, przez ośm miesięcy codziennej niemal indagacyi, było te dwadzieścia dwa i drugie tyle późniejszych, tomowych protokułów, oczyścić ze zbytecznego wylania, i za pomocą prawdopodobnego komentarza ku zamierzonemu planowi propagandy nachylić. Na nieszczęście, szlachta Poznańska, która się przed frasunkami powstania sama po większej części do więzień pruskich schroniła, nie pojmowała innego rodzaju obrony, jak osobistą od grzywn i wieży, czyją bądź szkodą, chociażby honoru zbiorowego, sumienia i polityki dziesięciu narodów i dziesięciu przyszłości. Nie dowierzając tedy nowej procedurze, czy takowej nie rozumiejąc, wyperswadowała sobie, że skoro po dawnemu wyprzysięże się przed kratkami dokonanych zeznań, własnych podpisów, własnej krwi, własnego imienia, zaraz rozbroi kodex Pruski i powróci przed jarmarkiem wełnianym do sielskiego spokoju. W kilkuset kartkach, które J. Moraczewski nazywa propagandą schodzącą z panów do ludu, a których z piędziesiąt B. D. przejął i zachował dla zbudowania ciekawych, żeby też słowo, żeby westchnienie za sprawą publiczną; ale zato naleganie na Mierosławskiego, pod zaskarżeniem o zdradę, ażeby każdego wykłamał swoim lub innego kosztem, od nie cofniętych, od dotykalnych dowodów. Po zaciętej, a dokuczliwszej dla niego niż wszystkie pruskie zemsty, polemice, zbrojny przestrogami centralizacyi, która się wiernie pilnowała opinii europejskiej, Mierosławski tyle zdobył na poświęceniu szlacheckiem, że jedenastu hersztów związku nie uleczenie skompromitowanych, towarzyszyć mu będzie w zaszczycie i kłopotach procesu jawnego. Ale całe lato roku 1847 zeszło na dobieraniu tych kilku sekundantów, odrzucających sobie wzajemnie i zaszczyt i kłopoty; a przy próbie ostatecznej, na jedenastu, potem na dziewięciu, nareszcie na siedmiu przystających, dwóch tylko dotrzymało obiecanego Mierosławskiemu świadectwa: B. Dąbrowski i Sew. Elżanowski. Surowe, że nie powiem wzgardliwe umilknienie, jakim całe dziennikarstwo europejskie wyosobniło raptem sprawę Mierosławskiego od reszty procesu, upokorzyło nieco frantów zawiedzionych w nadziei pomylenia jednym zachodem trybunału pruskiego i trybunału ludu; ale nie pojmuję doprawdy, o co w tem było Komitetowi Poznańskiemu tak długo na Mierosławskiego się dąsać? (1)"

W dopisku Mierosławski dodaje:

„(1) Żeby jednakże nic a nic wątpliwego nie pozostawić w kwestyi tak ważnej dla edukacyi sprzysiężeń, zastrzegłszy tylko prawość i dobrą wiarę ogólnej metody jaką w obronie sprawy rewolucyjnej obrałem, skwapliwie spowiadam się ze szczególnych uchybień, jakie czy musiałem czy mogłem popełnić w tym zawikłanym lesie, przy sztukowaniu, naprawianiu, naciąganiu cudzych zeznań do mojego rozległego zamiaru.

Nie powiem podstępami inkwirentów, bo te były przewidziane, ale niespodzianemi podstępami szlacheckiego samolubstwa obsaczony, szczelnie zamknięty, naiwnie zaufany w odwagę cywilną towarzyszów z których osobiście znałem ledwie piętnastu, nie podobna mi było, dali Bóg niepodobna wszystkich zarazem wyklamać, ubohaterzyć i oszczędzić, jak niepodobna żeby też i najwprawniejszym bateryom w zamroczu klęski, odeprzeć naciskającego nieprzyjaciela bez poturbowania nieco własnych uciekinierów. Sumiennie iskając protokuły indagacyjne, wynalazłoby się zapewnie, że mógłem zręczniej opisać pewną sień czy bryczkę, do pewnej czapki się nie przyznać a pewien szlafrok Dunkierowi przefarbować, zaprzeczyć niektórym podpisom, parę dni dłużej mistyfikować inkwirentów substytucyą nazwisk czy dwuznacznością języka, nareszcie o znalezionych w moim kufrze rozkazach, raportach i planach uporczywiej twierdzić, że to rachunki piwowarskie mojego papy Szatkowskiego. Jakkolwiek nie jaśniej dzisiaj, jak podówczas pojmuję, coby na tem honor i swobody ojczyste wygrały, ochłonąwszy z młodzieńczych uniesień z wszelkiej też próżności autorskiej, niedomyślności mojej żałuję a kogo takową umartwiłem, przepraszam. Przebieglejszych jurystów nigdy nie potępiałem, a dzisiaj chętnie podziwiam, o ile jednak ratunkiem interesów prywatnych nie zadawali fałszu mojemu manifestowi, i dla skrócenia o miesięcy kilka swojej kary nie wystawili cierpienia narodowego na pogardę ciemięsców, bo takim kosztem żaden podziw się nie opłaca; darmo, umrę w tym przesądzie niepoprawny i nierozgrzeszony."

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pod światło...

Burza w szklance wody

Pan wicepremjer Kwiatkowski znany jest ze swego kwiecistego krasomówstwa. Gdyby to miała być podstawa kwalifikacji przy sprawowaniu funkcyj państwowych, nikt nie śmiałby wyrazić żadnych zastrzeżeń i wątpliwości co do jego osoby. Lotne słowo jednak zdolne jest stwarzać wiele złudzeń, dalekich, bardzo dalekich od rzeczywistości.

W jednem ze swoich licznych przemówień (na zebraniu Narodowego (?) Chrześcijańskiego Zjednoczenia pracy w Katowicach) p. wicepremjer Kwiatkowski użył zwrotu:

„Prywatnej inicjatywie nic nie stoi na przeszkodzie, niech wystąpi i pracuje!"

Dożyliśmy nareszcie raju gospodarczego w Polsce! Baj, baju, będziesz w raju!

W tymże referacie przyjmowanym — wedle relacji I. K. C. — „burzą oklasków", p. wicepremjer przyznał, że sytuacja gospodarcza i finansowa Polski jest bardzo trudna, że brak pracy i chleba, że przemysł i handel słabną; podkreślił jednak, że możemy się odbudować i sytuację tę naprawić, jeżeli zwyciężymy główne źródło kryzysu.

„Tem głównem złem są przedewszystkiem ludzie. Musimy się sami zmienić, przeorać stare poglądy i dostosować się do nowych warunków."

Nie można odmówić słuszności pierwszego z zacytowanych zdań. Brak jest tylko określenia: — jacy ludzie? Ale rada, w drugiem zdaniu zawarta, przypomina — burzę w szklance wody.

A możeby tak tę niezdrową wodę wylać? Możeby tak wogóle — zmienić ludzi?

Głośne wystąpienie jednego z najbardziej eleganckich (jak się wydawało) ministrów, „kochanego pana Władysława" (jak go nazywa p. Cat-Malkiewicz w wileńskiem „Słowie") przeciwko Stronnictwu Narodowemu wyzwoliło całą falę nienawiści „kombatantów" antyendeckich. Prasa żydowska, ukraińska i „sanacyjna" (z nielicznemi wyjątkami) rzuciła się hurmem na znienawidzoną endecję. Trzeba podziwiać poziom, szlachetność tonu, rycerskość... W świetle tych wystąpień widzimy dopiero, jak głęboką prawdę zawiera francuskie przysłowie: „Le styl c'est l'homme".

Na płaszczyźnie walki z Obozem Narodowym nastąpiło podziwu godne „zbratanie ludów". I co za zgodność w wystąpieniach!

„Rozwiązać Stronnictwo Narodowe"
„Zdławić Endecję"
„Endecja wrogiem Państwa"

tak krzyczą grube, wielkie czcionki tytułów w pismach frontu antyendeckiego.

Ostatnio radykalno-lewicowy „Kurjer Poranny" zaopatrzył wstępny artykuł wymownym tytułem:

„Narodowcy" przeciw Narodowi.

Uwzględniając treść samego artykułu („rozpala się wśród ludności wiejskiej nienawiść do Żydów") i znaczenie użytych cudzysłowów należałoby już zaopatrzyć tę treść takim tytułem:

Narodowcy przeciw „Narodowi".

Byłoby bliższe prawdy. Socius.

O „listopad uniwersytecki"

P. K. L. Koniński odpowiedział w „Zecie" nr. 19 na polemikę niżej podpisanego z jego artykułem p. t. „Listopad uniwersytecki" w n-rze 15—16 tegoż „Zetu" z artykułem piętnującym rzekomo nieetyczne postępowanie studentów narodowców wobec żydów na wyższych uczelniach. Zabrać raz jeszcze głos w tej sprawie jest koniecznością, aby odeprzeć zarzuty niesłuszne.

Gwałtowność mojej polemiki miała dwie przyczyny. Właśnie z racji, że p. Koniński jest z wyznawcami ideologji narodowej „towarzysko, poniekąd i politycznie" blisko i że tak przekonywująco wartość tej idei w swych literackich pismach uzasadnia, z tej racji polemika z jego krzywdzącą młodzież narodową oceną musi być gwałtowna. Wiemy oddawna, jak beznadziejna jest dyskusja z ludźmi złej wobec nas woli, a tych nie brak w Polsce, ale od ludzi, którzy nas rozumieją, mamy chyba prawo żądać ocen sprawiedliwych. Z takich liberalnych rozważań, jak wymieniona p. K. przeciwnicy kują przeciw nam broń zarzutu wewn. rozdarcia, że wskażę zdanie z nr. 3 „Buntu Młodych", gdzie się mówi o „wstręcie" narodowców wobec zajść antyżydowskich właśnie na podstawie artykułu K. L. Konińskiego. Nie miałem zamiaru ukrywać przed czytelnikami „Głosu" tez artykułu p. K. Dla mnie krzyczącą była rzecz, że młodzież zwalcza Żydów nie z głębi idei, ale z braku kultury. Przeciw tej tezie musiało się zaprotestować!

Słusznie p. K. stwierdza, że na wojnie wszystkie środki, zdolne zniszczyć przeciwnika, są słuszne i że to powinienem był podkreślić. Tak — zrobiłem to, niestety artykuł mój uległ, nie z mej winy, przekształceniu.

Sprawa niemiecka. Największą dumą młodzieży narodowej jest godność Obozu Nar. wobec tej sprawy. Wiemy o niej w głębi serc, wiemy, że w obronie tej granicy leży pierwszorzędne nasze powołanie.

Czyż trzeba o tem człowieka dobrej woli przekonywać? Wiemy, że hitleryzm jest naszym dziejowym przeciwnikiem. Wiemy, że nawet pędzenie żydów z Niemiec ma częściowo i ten cel, aby ci żydzi infiltrowali do Polski dla jej osłabienia.

Ale czyż można nie uznać takiego zachwycającego zrywu potęgi narodowej? Tak, to nam imponuje. Zazdrościmy Niemcom, że tak czcić i rozumieć umieją naród. I cieszymy się, że dali przykład, iż w sprawach życia narodu obowiązuje nie filozofja, a twarda konieczność. Rozumiemy też międzynarodową potrzebę walki z żydostwem i komunizmem. W którymś z n-rów lutowych „Warsz. Dziennika Narodowego" był głęboki artykuł S. Kozickiego, rozróżniający, w czem obowiązuje wobec Niemców sympatja, w czem czujność. Mamy uznanie dla tego wielkiego przeciwnika i ci, co go Polakom wskazali, uznawali go niemniej.

„Znachorstwem" jest filozofowanie nad sprawami nagłemi i podawanie namiastek, ziółek. Marna jest walka bez czujności i konsekwencji wobec przeciwnika. Temi środkami, tą „demagogją" chcemy uratować naród polski. I oczywiście uratujemy.

J. Bielatowicz, Kraków.

Stanisław Odrowąż, Poznań

Z TEATRU POLSKIEGO

Teatr Polski w Poznaniu: „Zburzenie Jerozolimy" T. Konczyńskiego. Epilog wojny rzymsko-żydowskiej w 3 częściach (16 obrazach).

„Gdy tedy wszystek lud krzyczał, a w trąby trąbiono, skoro w uszach mnóstwa głos i trąbienie zabrzmiało, natychmiast mury upadły"... (Ks. Joz. II, 6, 20). Tak oto Pismo św. opisuje upadek Jerycha, miasta w Ziemi Obiecanej, ziemi Chanaan, — miasta, które padło naskutek wrzasków żydostwa.

Tak oto można także opisać pewien moment z dziejów „Zburzenia Jerozolimy" Konczyńskiego, która to sztuka w Warszawie padła natychmiast, gdy tedy wszystek lud wybrany krzyczał, a w trąby trąbiono...

Tylko że nieszczęsne Jerycho już nie powstało. Sztuka Konczyńskiego jednakowoż weszła spowrotem na afisz.

Świadczy to, że mimo wszystko, jest pewna różnica między krajem nadwiślańskim a nadjordańskim...

Przedziwna jest jednak psyche tego ludu. Każdy żyd, gdziekolwiek by nie był i kimkolwiek nie jest społecznie, jest rasowym nadnacjonalistą. Lecz z racji jakiejś wyższohandlarskiej konkurencji odnosi się z niesłychaną pogardą do wszystkich nacjonalizmów całego świata. — Mówię: „odnosi się", chcę przez to określić nietylko teraźniejszość, ale to co było i to co będzie.

Żyd, w domu supernacjonalista, pro foro externo — jest kosmopolitą. To jest największy eksport tej rasy: internacjonalizm, rozsadzanie spoideł i więzi narodowych na rzecz „stanów", pan-Europ, pan-Azyj...

Żyd nie widzi najmniejszej sprzeczności między własnem stanowiskiem wobec zagadnienia narodu, a między stanowiskiem, jakie zajmuje wobec narodu innego. Nie jest to tylko megalomanja narodowa, wobec własnego narodu, tak jak np. u Niemców. — Przecież plucie na nacjonalizm wogóle, na nacjonalizm jako taki jest tak sugestywne, tak logiczne, tak druzgocące, iż każdemu kto śledzi antynacjonalistyczne argumenty żydostwa musi się wydać, iż od takiego stanowiska niemożliwy już jest odwrót na własne podwórko!

Tymczasem nie potrzeba udowadniać jak naiwnym byłby każdy, ktoby tak sądził. Opluć cudzy naród, czy, ściślej mówiąc naród „jako taki" — Czemu nie? Tak nawet trzeba! Przecież jak znikną narody, znikną cła, a wtedy faktorska żydowska dusza zazna rozkoszy 7-go nieba w pośrednictwie....

Takie oto uwagi (no, i, rzecz jasna, o wiele mądrzejsze) przychodzą do głowy każdemu laikowi, kiedy przysłuchuje się zgrabnie napisanym djalogom Konczyńskiego. Bo swoje „Zburzenie" sfabrykował teatralnie niezgorzej. Wszystko trzyma się kupy, zwraca uwagę, zaciekawia, nic nie nuży, choć jest to raczej djalektyka a nie akcja.

Teatr Polski wystawił „Zburzenie" w dużym stylu. Kostjumy, dekoracja — pomysłowe. Grano bardzo dobrze. Na czoło wybił się Wroński w roli Józefa Flawjusza. Potrafił się utrzymać w granicy prawdziwie szlachetnego patosu; wzruszał męką duszy, wijącej się z bólu nad upadkiem świętej Jerozolimy, którą zdobywa barbarzyńca Tytus.

Tytusa zagrał Hańcza doskonale. Hańcza stał się aktorem, który z kostjumem i gestem historycznym czuje się tak w zgodzie, jak ślimak ze swą skorupą. Rzadkość to w młodem pokoleniu aktorskiem.

W przedstawieniu brała udział prawie cała męska obsada. Po sprawiedliwości trzebaby chyba wszystkich wymienić, bo na to sobie zasłużyli, z wyjątkiem Kierczyńskiego, który nie potrafi zdobyć się na szczerość i uwolnić od denerwującej sztuczności.

W sumie — spektakl spreparowany nader umiejętnie, z wielką znajomością.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

Eugenjusz Onegin. — X Koncert Symfoniczny.

W jednem z tutejszych pism codziennych przeczytałem z niemałą dozą zdziwienia i zrozumiałego niesmaku, że muzyka „Onegina" nadaje się dziś tylko do muzeum. Sądzę, że zdanie to, nieopatrznie i bezpodstawnie wypowiedziane, spotkało się z odpowiednią oceną każdego, kto potrafi odczuć prawdziwą wartość scen lirycznych Czajkowskiego i jego piękną oprawę muzyczną, jaka pozostawia na długo głębokie wrażenie, będąc szlachetną, subtelną i zawsze świeżą.

Muzyka Czajkowskiego nie potrzebuje dziś chyba żadnej oceny krytycznej, bo, posiadając ustaloną już raz na zawsze niegasnącą sławę, znajduje się na najwyższym piedestale głębokiej twórczości symfonicznej i może być drogowskazem dla wielu nowatorów, błądzących poomacku w epoce bezdusznego realizmu, zwanego skrajnym modernizmem.

Wznowienie „Onegina" spotkało się z gorącą wdzięcznością społeczeństwa. Tytułowe role powierzone były czołowym artystom, a reżyserja i kierownictwo muzyczne, aczkolwiek nie bez pewnych ułomności, wywierały wrażenie raczej dodatnie i zasługujące na uznanie.

Pani Korytko-Czapska (Tatjana) śpiewała bardzo dobrze, mając doskonałego partnera w osobie p. Dolnickiego (Onegina), którego gra i głos wywoływały niemilknące oklaski.

Partję Olgi śpiewała p. Roessler-Stokowska; p. Peter (Leński) miał zadanie bardzo trudne; jego arja (przed pojedynkiem) nie osiągnęła żadnego efektu, a cała liryczna partja wypadła na niekorzyść solisty, nadającego się raczej do ról bohaterskich. Świetną nianią była p. Janowska-Kopczyńska.

Chóry już w I akcie budziły duże wątpliwości, a statyści robili wrażenie słabo nakręconych manekinów, niezbyt starannie ubranych.

Nad całością czuwał kapelmistrz Barański.

Program ostatniego koncertu nie należał do szczęśliwie sklejonych i wywołał pewne zastrzeżenia. Po wstępie do wagnerowskiego „Parsivala" usłyszeliśmy koncert d-moll Brahms'a w dobrem, jędrnem i ożywczem wykonaniu p. Konatkowskiej, która wielokrotnie podpierała niezbyt przygotowaną orkiestrę. W drugiej części programu odegrano poemat Kasserna „Dies irae" oraz „Marsza francuskiego" Ducasse'a. Oba te utwory, aczkolwiek posiadają dużo śmiałych posunięć instrumentacyjnych, nie przedstawiają żadnej wartości głębszej i nigdy nie trafią do tych słuchaczy, którzy chcieliby posłuchać prawdziwej, dobrej muzyki.

Takie poematy, jak „Dies irae", nie przyjmą się nigdy, kwalifikując się nawet nie do muzeum, a raczej ad acta.

Całością dyrygował prof. Nowowiejski.

(Dokończenie ze strony 3-ej).

A ci co wejdą na szczyty, nie uczynią to dla marnej misy — a tylko by być rycerzami odrodzonego narodu.

I stąd idea narodowa w Polsce posiada tyle dynamiki twórczej, a siły jej to nietylko echa idącego przez świat kierunku, — ale rodzime podglebie. Jedynym rzeczywistym wrogiem tego ruchu jest komunizm — z nim zostanie rozegrana zwycięska walka o rząd dusz. Inne kierunki bez oparcia istotnego o masy — nie mogą i nie odegrają żadnej roli w wypadkach najbliższych lat.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅙ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.